

KOLCE

CZCIONKOTŁOK SATYRYCZNO - KRYTYCZNY

Nr. 9.

Warszawa, dnia 13 grudnia 1925 r.

Rok 1.

LEKARSTWO NA DEFICYT.



— Urwanie istne głowy! —
Powiadam Fräulein Zycie
— Nasz Teatr Narodowy
Brnie w srogim deficycie...
Ach! to być muszą brednie —
Odpiera Fräulein Zyta
— Wszak sztuki macie przednie,
Codzień się o nich czyta.

Wystawiać tylko trzeba
To, co wam dni umiła,
Například: „Pasek chleba!
Złotówka funt... bez kila“.
Lub też: „Z P. K. O. drzewko,
Co pójdzie wnet za kraty“.
Dawajcie — a konewka
Będziecie brać dukaty.

CZŁOWIEK O MIEDZIANEM CZOLE

— Prawda — szepnął Miller.
— Ta, niby tak... — przyznał Urusow.
— Więc... tak mi się odplacacie? Na kolana, hultaje! — rozkazała tonem księżniczki, przemawiającej do poskromionych rokuszów.

A jednocześnie cwałujący w cieniach nocy za siódmą górą i za siódmą rzeką Ligenza wzdrzał się na wspomnienie ostatniej swej rozmowy z leśniczyną. Nie umiając jeździć wierzchem, wspinała się do niego na siodło. Odepchnął ją łagodnie, ale stanowczo i zaklął się na ich miłość, że pod tym słodkim ciężarem rozparłoby najlepszego wierzchowca.

— Pojedziesz zatem sam? — spytała z wyrzutem.

— Jak sierota — załkał w odpowiedzi i wsparł konia obcasami, zacinając inne szpicruta. Cały tabun poniósł się jak wicher, a w głowie jeżdżąca ponad wszystkimi innymi górowała myśl radosna:

**

Dobry Bóg i tym razem ustrzegł od stryczka i — baby!

Już od dwu tygodni z szaro-płowego nieba lały się na ziemię strumienie roztopionego ołowiu. Określenia tego jednak nie należy brać dosłownie, chodzi tu bowiem tylko o obrazowe, albo raczej porównawcze przedstawienie czerwcowych upałów, nawiedzających rokrocznie Mandżurję.

Sungari, tamecznych rzek królowa, przeświecała licznymi mieliznami. Po miastach rozgrzany żarem słonecznym bruk parzył stopy przez podeszwy obuwia. Powietrze muskało twarze dotknięciem lepkiem i gryzaczem. Pot zatapiał oczy, sącząc się z czoła i skroni, po szyi i grzbiecie.

W Charbinie i sąsiadującym z nim Fudzianianie szerzyła się epidemia cholery i tyfusu. W godzinach wieczornych ulicami bezлюдnymi przeciągały zbiorowe pogrzeby. Na dwóch—trzech platformach wieziono po kilkanaście trumien, zbitych z białych, sosnowych desek.

Przechodnie zdala omijali się wzajemnie, stroniąc od siebie na całą szerokość ulicy. Wielu przewiązywało sobie usta chusteczką, by nie wdychać bezpośrednio powietrza, nasyconego — w ich mniemaniu — chorobotwórczymi miazmatami.



Wszedł do kawiarni, zauważywszy przez okno znanego bankiera...

W tym to krytycznym okresie pod koniec czerwca 1919 roku, już o zapadającym zmroku, podążał ku przystani mężczyzna o herkulesowej kompleksji. Potężna jego sylweta rysowała się imponująco na zamarłym bruku ciasnych zaułków. Obciążony dwoma sakwożażami, stapał miarowo,

I ZNOWU JĘCZA DZWONY...

(Nad grobem śp. Władysława St. Reymonta)

I znowu jęczą dzwony pieśń żaloby,
I znowu kirów cień osnuwa łąy...
Mogilny szczyt znów wyrósł ponad groby
I znowu skarga nam na wargach drży:
Już niemasz Go wśród żywych — czy
słyszycie?!

W zaświatów odszedł dal — porzucił nas.
Zmarł Ten, co w martwych bryłach krzesał
życie.

Któremu zwierzał się bór—strumyk—głaz...
Łan pszenny mówił Doń i lésne echa,
Słoneczny żar i skib zoranych woń,
Przydrożny krzyż i poczerńiała strzecha,
Dziupławej wierzby pień przemawiał Doń.
Nie miała przed Nim ziemia-mać rodzona
Tajemnic żadnych — znał je jako Swe.
Niechże Go ninie weźmie w swe ramiona
I tuli słodko w tym wieczystym śnie.

KRAWCZYKI.

(Bajka).

Zebrały się dobre dziatki,
Aby skroić matce szatki,
Bo noszona dotąd świtka...
Nie to, żeby była brzydka,
Wręcz naopak: za wspaniała
Wolność ruchów krępowała.
Długa w stanie — luźna z boku,
Hamowała sprawność kroku.
Gdy babina szła przed siebie,
Czuła, że się w miejscu grzebie,
Lecz nie mogła wybrnąć z błota,
Bo pętała ją kapota...
Tandem tedy jak się rzekło,
Pragnąc w raj zamienić piekło
I ucieszyć swą rodzicę,
Wzięły dziatki pod nożyce
Macierzyńską świtkę stara,
By ją zszyć pod krótszą miarą.
Szast-chlast z lewa, szast-chlast z prawa —
Ot, i niema już rękawa!
Crwęk! Brzdęk! — trzeszczą cztery stoły,
Aż odpadły obie poły.
Tak kolejno — bez przechwałki —
Poszła świtka na kawalki,
Aby dawny kształt za wielki
Zmienić w postać kamizelki.
Dziatki z dzieła rade tu są,
Że odziały matkę kuso,
A nie pomną, że w tej porze
Trochę zimno jest na dworze...

PRZYSŁOWIA NA PODSZEWCIE.

Uczył Marcin raz Marcina,
Choć sam był głuptasek...
I stąd poszła ta nowina:
Głupszy Marcin od Marcina.
Kiedy topór w pień zacina,
Wnet rzędzie lasek...
Uczył Marcin raz Marcina,
A sam był głuptasek.

Wół zapomniał — wół stateczny,
Jakto był cielakiem,
Bo nie sądził, że konieczny
Ten rodowód, on, stateczny.
Z cielećmi był niegrzeczny,
Darzył często znakiem,
Bo zapomniał wół stateczny,
Że sam był cielakiem.

MISZ - MASZ ŚWIATOWEJ
POLITYKI.

Rzecz to nietyle zdrożna, co nie-
przyzwoita.

— Jak to pogodzić z sobą? — każdy
dziś się pyta. — Wylewne serdeczności,
pakty, klątwy, śluby — a jednocześnie pod-
stęp, wiodący do zguby. Mrzonki o rozbro-
jeniu wnet się ciałem staną, a tu angielskich
szpiegów łapią nad Sekwaną! Lecz nie to
jest w sprzeczności z przyjaźni dewiza,
gdzie łapią: czy w Wersalu, czy też nad
Tamizą, jeno że o Japonii tem aż tak
otwarcie mówi się po Locarna akordowej
karcie. Najwięcej zajmująca była dla Ber-
lina i dla Moskwy ta smutna dla innych
nowina. Sowiety weszły w cichy spisek
z Łapcap-Paszą i wspólnie Johna Bulla pod
Mossulem straszą. W Chinach rzną się wy-
trwale, cały kraj krwią zlany, a „makaki“
wyciąga rękę po kasztany... Wuj Salm li-
czy miljarde i spraw się nie tyka, pewny,
że każdą wojnę wygra... Ameryka.

Was dziwi ta stoickość biznesu r...gu?

Wyjaśnim to w następnym, dalszym
Misz-masz ciągu.

Z ZAGADEK AKTUALNYCH.



Holenderka?

Oczkiem zerka

Do lusterka.

A na brzuchu,

Waga z muchą

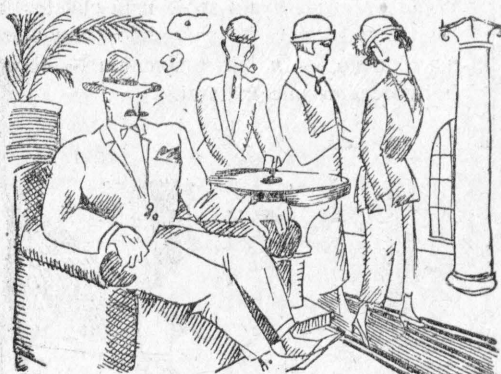
Tkwi bez ruchu.

Kto to? — ciekawość was bierze?

Przeczytajcie o Szejgerze.

bez pośpiechu i ociągłości. Do przystani
przybył w chwili, kiedy panowała w niej
idealna pustka. Z ostatnio przybyłego stat-
ku zeszli już nietylko podróżni, ale i załoga,
nie wyłączając podrzędnej służby.

Atleta, rozejrzawszy się naokół, czy go
kto nie podgląda, w kilku skokach przesa-



Baby go oglądały, bo chłopak przystojny...

dził zwodzony most, chyłkiem prze-
mknął przez pokład i zniknął w czelu-
ści otworu, prowadzącego do dolnych ka-
bin, przeznaczonych dla okrętowych ciu-
rów. Panowała tu ciemność nieprzeniknio-
na, bo światło dzienne przesączało się
z górnego pokładu tylko przez gardziel
wąskich drzwiczek.

Nieznamy uznał jednak, że i tak jest
dlań jeszcze za jasno i wpłynął czempre-
dziej pod prycę, gdzie wprawił w paniczny
popłoch drzemiacą rodzinę szczurów. Z pi-
skiem rozpierchły się na wszystkie stro-
ny, co mąciela spokoju wprawiło w dobry
humor.

— Za pozwoleniem — szepnął, z cicha
chichocząc — ja też jestem na utrzymaniu
Pana Boga i zasługuję na pewne względy.

Wcisnąwszy się w najgłębszy kąć, atleta
ułożył torebki pod ścianą i oparł o nie
głowę.

— Wybornie! — orzekł po chwili — ja-
kiś dzień-dwa da się tu przetrzymać. A po-
tem znowu wypłyniemy.

Aby nie zasnąć i chrapaniem nie zdra-
dzić swej obecności, ssął miętowe cukierki
i kolejno, po omacku sprawdzał zawartość
kieszeni.

Musiał tak upłynąć dobrych kilka go-
dzin, bo już po raz dziesiąty ponawiał tę
manipulację — gdy dały się słyszeć głosy
i bieżanina na pokładzie. Nie było wąpli-
wości, że statek gotuje się do podniesienia
kotwicy. Gwar i ruch wzrastał gwałtownie.
Wprawne ucho olbrzyma łowiło charakte-
rystyczne dźwięki i oceniało postępowanie
przygotowań.

— Wnet odbijemy — pomyślał.

Ale zawiódł go rachuba. Odjazd nie na-
stępował, jakkolwiek rozgardjasz od paru
chwil już przycichł.

— A to co znaczy? — zamajaczyło py-
tanie w mózgu osobliwego podróżnika.

Odpowiedź nastąpiła niebawem. Do ka-
juty majtków wśliznęło się kilku osobni-
ków, żywo ze sobą rozprawiając.

— Zuch, jak mi Bóg miły! — zachwalał
jeden.

— Mówią, że to międzynarodowy spe-
cialista — podchwycił drugi.

— No, przecież partacz nie ośmieliłby się
dokonać czegoś podobnego w biały dzień,
na głównej ulicy!

I TEN TAKŻE.



- Gdański już przyszedł?
— A cóż to ciebie obchodzi?
— Czekam na amerykańską pożyczkę.

ZAWIANY LWÓW.

Tym razem mamy na myśli termin dosłowny. Niebawo śnieżycą w pierwszych dniach grudnia pokryła miasto białym całunem grubości półtora metra. Było to dobrze i niebardzo. Dobrze dlatego, że pod śnieżnym kożuchem znikło błoto i śmiecie — niebardzo zaś z tej racji, że prócz nieczystości i plugastwa zaczęli ginąć ludzie i zwierzęta. Przerażony żywiołowa katastrofą magistrat włazł przezornie do piwnicy, pozostawiając mieszkańców na pastwę srogiego żywiołu. Desperaci robili podkopy — tramwaje zamarły w bezruchu. Dbali o losy grodu mężowie zwrócili się do kabalarki o radę, jak wyzwolić miasto z pod opresji, sroższej od inwazji tureckiej i bolszewickiej.

Na intencję przejednania rusińskich bogów, marszałek stryjski, hr. Dzieduszycki oddał ziemię pod ochronę ukraińską w Synowódzku. Proszony o odstąpienie placu pod kościół katolicki, nie daje odpowiedzi. Widocznie nie zasięgnął jeszcze rady swoich pachciarzy, którym odnajął rybolóstwo na Sukieli i Świcy, pozbawiając zarobku miejscowych chłopów polskich.

- Gdzież to było?
— W chińskiej dzielnicy. Wszedł do kawiarni, zauważywszy przez okno znanego bankiera Lu-Piń-Go. Chińczyk miał przy sobie dwa duże portfele, wyładowane dolarami, które przyniósł do swych czarnogieldziarskich operacji. Pan złodziej usiadł sobie przy sąsiednim stoliku i palił cygarko. Baby go oglądały, bo chłopak przystojny.
— No, i co?
— Ano, wyczekał dogodną chwilę i łap za flotę. Bankier spostrzegł się dopiero, gdy złodziej był już na dworze. Gwałt! Rzucono się w pogoń. Złodziej tymczasem zdążył już ukryć torby i spokojnie kroczył dalej, a gdy chińczyk, który dopadł go pierwszy, zagadnął go o swą własność, ten sprzął go kijem i w strzępy podarł na nim ubranie. Lu-Piń-Go nie poparty przez nikogo, zawrócił po policję, a pan złodziej porwał łupy i zniknął czempredziej z oczu.
— Widziano go, jak szedł do przystani.
— I dlatego przeszukują nam statek.
— Mów, co chcesz, a chłop ma łeb na karku! Dwie torby dolarów to jednak wartość grzechu. Chciałbym być w skórze tego franta.
— I ja!
— I ja!
Do komórki weszła wreszcie policja.
— No, a tu go niema? — zapytał ostro urzędnik.
— Chyba pod pryczą — odparł jeden z majtków.
Detektyw zniżył latarkę i zabierał się przykleknąć, kiedy z pod pryczy wypadł szczur i po schodkach wbiegł na górę.
— Pfu! — splunął zawieszicie policjant — kiedy tam siedzą szczury, to niema co szukać złodzieja.

KRZYWDA.

(Plac trybuna ludu.)

Masz, babo, koalicję! Masz partyjne klucze! Teraz cię własny bękart pałką po łbie tłucze.

Bo czy to rzecz słyszana, co się teraz dzieje: w demokratycznym państwie pładzą przywileje! Nieinaczej, zaiste, nazwać się to może, że kmiotek fiskusowi winien ołdać zboże — za podatki w wypadku, gdy nie ma mamony.

O, ludu paskopiastów, jakżeś ciemny! O, ludu piastopasków, zrozum, o co idzie. Już nie będziesz (jak dotąd) mówić:

— Czekaj, żydzie! Dam ci moje ziarenko, lecz dopiero z wiosną, kiedy ceny na zboże przystojnie urosną

A gdy zaś egzekutor przyszedł po podatki, mówiłeś:

— Nie mam grosza! Gość to u mnie rzodki. Niech tylko sprzedam zboże, ja! — Maciek Łasy, pierwszym pędem poskocz do skarbowej kasy.

Na wiosnę egzekutor widzi znów swój schowek, a ty nań z trzaskiem wołasz:

— Wara! Dziś przednowek! Skąd się wezmą zasiewy, skąd żywność dla dzieci? A plony na jesieni? A najpierw — podatki?!

I tak w kółko, Macieju, on, oni, ja i ty wymówkami skarbowe płaciliśmy kwity, zaś aby nie uszczuplać chudej państwa fary, chowaliśmy pod piecem jedynie dolary.

Teraz urwie się wszystko!

Włożą nam obrożę, w braku bowiem gotówki wezmą za nią zboże.

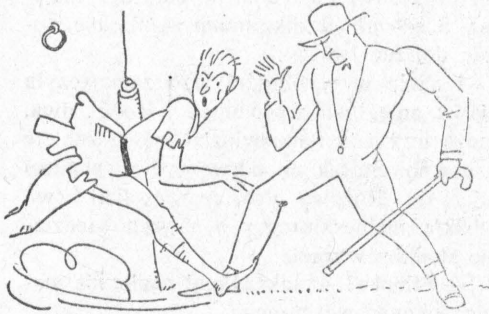
I to jest koalicja? To porozumienie?! A niech ją smród ogarnie — za wyjątkiem... (Mnie nie!!).

CZARNA DAMA... MIEJSCAMI.



Mniejsza o to,
Pieszczoto,
Co masz białe — co czarne.
Kiedy całość ogarnę,
Nic nie pójdzie na marne...

- I wrócił z towarzyszkami na pokład.
Niebawem trzykrotny ryk syreny oznajmił odjazd. Zatrzeszczały wiązania, ozwał się plusk kół, uderzających coraz szybciej o wodę. Ukryty pod pryczą atleta poprawił się w swem zatechnym legowisku i przymknął znużone powieki. Teraz mógł zasnąć spokojnie, bez obawy, by jakikolwiek odgłos mógł zdradzić jego kryjówkę w tym piekielnym tartasie.



...sprzął go kijem i porwał na nim ubranie w strzępy.

Już na Amurze, po minięciu kilku przystani rzecznych, w których coraz to nowi przybywali podróżni, pojawił się na pokładzie statku pasażer, o którym nikt jakoś nie mógł sobie przypomnieć, gdzie i kiedy zaczął dzielić trudy podróży. Zapytany o bilet, oświadczył, że go zgubił i bez ociągania się zapłacił należność wraz z karą.
W Chabarowsku nieznanemu mężczyźnie o herkulesowych barach i lędźwiach wysiadł niespostrzeżenie, unikając wszelkich formalności.

W parę dni później pojawił się we Władywostoku.

Perły Kleopatry i... wąż Niewiarowskiej.



Różne plotki w mieście są tu...
Znikła diva z horyzontu,
Na stolicy hołd nieczuła,
Po prowincji gdzieś się tuła.

Aż od Suwałk niosą wiatry
Wieść o losach Kleopatry,
Która... (plotka, mówię znowu)
Wygnał wąż własnego chowu.

OD WYDAWNICTWA.

Życzliwe nad wszelkie oczekiwania przyjęcie, jakiego od szerokich kół Czytelników doznały wznowione „Kolce“, najstarsze w Polsce pismo satyryczno - humorystyczne, skłania nas, po całym szeregu podwyżek nakładu, do wprowadzenia zasadniczych ulepszeń w samym wydawnictwie. Poczynając zatem od następującego, t. j. 10 numeru, „Kolce“ ukazywać się będą w podwójnej objętości, w formie dużej ósemki, drukowane w dwu kolorach, bogato ilustrowane.

Kierownictwo artystyczne objął zaszczytnie znany art. - malarz, ilustrator pism polskich i zagranicznych.

Mając zamiar wprowadzić specjalny dodatek powieściowy, kończymy dziś w odcinku druk przygód „Człowieka o miedzianem czole“, poprzestając na cyklu syberyjskim.

Ustupującemu ze składu wydawnictwa p. Apolinaremu Janowskiemu składamy

wyrazy szczerzej podziękowań za gorliwą współpracę, która w znacznej mierze przyczyniła się do pomyślnego rozwoju „Koleców“.

Filje Administracji „Koleców“:

na Pomorze: Bydgoszcz, ul. Królowej Jadwigi 15, Biblioteka K. Białkowskiego;
na Małopolskę: Lwów, Pasaż Hausmana 6, II p., tel. 29-72.

Cena ogłoszeń: 16 gr. za wiersz milimetr.

Adres Redakcji i Administracji:
Ordynacka 3, telefon 302-04.

Redaktor przyjmuje we wtorki i czwartki od 6 — 7 w.

Redaktor i Wyd. Tadeusz Jan Żmudziński.

Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Ordynacka 3.

Dzięki posiadanym dolarom przedzierzgnął się w wytwornego yankesa. Z miną biznesisty, który zapędził się w te strony dla eksploatacji przyrodzonych skarbów Dalekiego Wschodu, przechadzał się po Świetlanec, lustrując snujące się eleganki. Jedna szczególnie przykuła jego uwagę. Głębka była jak trzcina, a obfite zwoje złotych włosów zdawały się przytłaczać nadobną jej główkę. Stapała lekko i z wdziękiem, kofysząc się w biodrach.

Yankesowi postać ta wydała się znajomą. Szedł już od kilku minut za nią, nie mogąc dojrzeć twarzy.

I nagle w wyobraźni jego zamajaczyła zjawia odległych wspomnień. Może dwa, może trzy lata temu widział już tę kobietę napewno. Starał się odtworzyć w pamięci jej rysy. Różowa pleć, czarne łuki brwi, wielkie, niebieskie oczy o niewypowiedzianie słodkim wyrazie.

— Stiopka! — zakrzyknął nagle, nie mogąc pokonać wzruszenia.

Kobieta stanęła jak wryta i odwróciła się ku nieznanemu.

— Raju mój! Skarby moje! Moje, moje wszystko!... — szeptał namiętnie, obnażwszy głowę. — Jakże się cieszę, że cię widzę! Teraz już nie rozstaniemy się z sobą.

Zmierzyła go pogardliwym wzrokiem i ofuknęła oschle:

— Nie znam pana! Proszę mnie nie nastawiać, bo przywołam milicjanta.

Stali na środku chodnika, potrąceni przez przechodniów. Pociągnął ją ku bramie. Poszła bez protestu.

— Stiopka! Stiopuchna! Jestem największym zbrodniarzem świata, ale jednej tylko jedynej zbrodni żałuję z całego serca: żem cię skrzywdził, najdroższa. Chwila

szczęścia, wzięta przemocą, zatrąla krew mą nieugaszonym ogniem piekielnego pożądania. Raz jeszcze móc cię posiadać, a oddam chętnie wszystko, co przedstawia dla mnie jakąkolwiek wartość: pieniądze, wolność, życie! Bierz mnie jak niewolnika i rób, co ci się podoba.



Starł się odtworzyć w pamięci jej rysy.

— A... dużo masz pieniędzy? — zapytała Stepanida Naumowna.

— Sześćdziesiąt tysięcy dolarów.

— Przy sobie?

— Nie; w mieszkaniu.

Popatrzyła nań przeciągle i gwałtownym ruchem zwróciła się ku jeźdni.

— Policja! — krzyknęła przeraźliwie.

Przybiegł posterunkowy. Atletę ani drgnął.

— Czuję się chora, proszę sprowadzić dorożkę...

— Pojedziemy, doktorze — rzekła do osłupiałego towarzysza, gdy stanął przed nimi wehikuł.

Tak zakończył się cykl syberyjskich przygód człowieka o miedzianem czole.